ROCZNIK IV. Nr. 8 (82) 15 KWIETNIA 1905.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK
SPOŁECZNO-LITERACKI

REDAKCYA: KRAKÓW, RYNEK 13.
ADMINISTRACYA: GRODZKA 50.

TREŚĆ:

PRENUMERATA WYNOSI KWARTALNIE: 3 KORONY, 3 FRANKI 50 CENTIM.; 3 MARKI; 1 RUBEL 50 KOP.

GŁÓWNY SKŁAD NA WARSZAWĘ:

W SPRAWIE GIMNAZYUM ŻEŃSKIEGO
W KRAKOWIE.

Z uczuciem prawej przykrości zmuszeni jesteśmy poruszać w prasie sprawy, kwalifikujące się zdaniem naszem jedynie do załatwienia w wewnętrznym zarządzie szkoły oraz Towarzystwa szkoły gimnazyalnej. Artykuły wszelkie, które pojawiły się w „Czasie" w dniu 7 i 9 kwietnia, zmuszają nas do dania wyjaśnień, a to z powodu, iż obydwa są oparte wprost na fałszywych informacyach oparte.

Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej powstało w czerwcu w r. 1896, a przedtem istniało od r. 1895 jako komisya przy stowarzyszeniu pomocy naukowej dla Polek im. Kraszewskiego. W skład komisyi wchodzili początkowo pp. Bujwid, Cybulski i dr Gross, nadto przewodnicząca stow. im. Kraszewskiego p. Kazimiera Bujwidowa, oraz sekretarz p. Józef Brzeziński. Na walnem zgromadzeniu stow. pomocy naukowej dla Polek z dnia 9 lutego 1896, Komisya została rozszerzoną przez przybranie pp. Maryi Baudouin de Courtenay, Maryi Wiśniewskiej, posła Jana Rottera oraz p. radcy Trzaskowskiego. Komisya ta opracowała cały projekt szkoły, a celem przyspieszenia sprawy, upoważniła na posiedzeniu w dniu 11 marca 1896, pp. prof. Bujwida, Cybulskiego i Trzaskowskiego do wniesienia podania do Rady Szkolnej krajowej z doniesieniem o zamiarze otwarcia w Krakowie prywatnej szkoły średniej dla kobiet. Na tem samem posiedzeniu na wniosek sekretarza p. Brzezińskiego, Komisya postanowiła przekształcić się na osobne niezależne od stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek, „Towarzystwo Szkoły gimnazyalnej żeńskiej". Powierzenie mandatu do wniesienia podania owym 3 członkom Komisyi, zostało przewidziane i określone przepisem statutu w § 13, a zaś stosunek do stow. Kraszewskiego §§ 17 i 18. Historycznie zatem właściwym twórcą szkoły było Towarzystwo im. Kraszewskiego a względnie przekształcone z Komisyi gimnazyalnej tego stowarzyszenia „Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej", zaś pp. Bujwid, Cybulski i Trzaskowski byli tylko jego mandataryuszami. (Porównaj drukowane i przyjęte przez Walne zgromadzenie sprawozdania Stow. pom. nauk. dla

Polek im. Kraszewskiego z r. 1895 str. 8, takież sprawozdanie z r. 1896 str. 6, sprawozdanie dyrektora prywatnej średniej szkoły żeńskiej z r. 1896 str. 5 i 18, oraz sprawozdanie Towarzystwa Szkoły gimnazyalnej żeńskiej w r. 1900 str. 4—6).

W myśl przepisu miejscowego statutu towarzystwa, oras § 13-go, tymczasowy zarząd złożony z osób podpisujących statut, tj. pp. Bandrowskiego, Bujwida, Cybulskiego, Grossa, Żórawskiego, Trzaskowskiego i Wiśniewskiej, zajął się organizacyą szkoły, ułożeniem planu, mianowaniem dyrektora i grona nauczycielskiego, oznaczeniem wysokości płac uczenic oraz prowadzeniem administracyi szkoły. Zarząd tymczasowy funkcyonował do dnia 26 listopada 1896 roku, w którym to dniu odbyło się pierwsze walne zgromadzenie Towarzystwa i wybór pierwszego zarządu złożonego z pp. Cybulskiego, jako prezesa, Trzaskowskiego, jako wiceprezesa, Bujwida, jako skarbnika, Wiśniewskiej, jako sekretarki, oraz pp. Bujwidowej, Bandrowskiego, Brzezińskiego, dr Grossa, Baudouinowej, oraz zaproszonego następnie ks. kanonika Knapińskiego.

Wymienienie tych nazwisk wykazuje. że pp. Bujwid, Cybulski i Trzaskowski, nigdy nie występowali w charakterze osób prywatnych, lecz byli ściśle związani z całą grupą ludzi, którzy też aż do ostatniej chwili w Zarządzie Towarzystwa zostawali. Ponieważ według pierwotnego statutu zarząd był wybierany na lat 4, przeto na cały czas istnienia szkoły, wybory odbyły się tylko 2 razy, a obecnie w dniu 5 marca względnie 9 kwietnia b. r. po raz 3-ci. Przy wyborach powtórnych dokonanych w r. 1901 weszły ponownie osoby wyżej wymienione z tą zmianą, że w miejsce pp. Brzezińskiego, Baudouinowej i Wiśniewskiej, weszli prof. Winkowski oraz pp. Kulikowska i Witkowska. Gdy prof. Winkowski wyjechał do Cieszyna, wszedł na jego miejsce prof. Bryl, który pełnił funkcyę zastępcy dyrektora. Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że autorowie obydwu artykułów w „Czasie“ intencye pewnej grupy ludzi, których są najwidoczniejszymi reprezentantami, przypisują swoim przeciwnikom. Stała się bowiem rzecz bardzo znamienna. Przy wyborach, dokonanych w dniu 5 marca b. r., postanowiła owa grupa ludzi, od której „Czas“ czerpie informacye, usunąć z wydziału osoby, które w nim od początku istnienia szkoły i Towarzystwa zasiadały, a mianowicie pp. prof. Bandrowskiego, Bujwidową, Grossa i Kulikowską a wprowadzić na ich miejsce osoby zupełnie nowe. Autorowie artykułów w „Czasie“ podnoszą tymczasem alarm, że „nowi ludzie“ a właściwie „nowe duchy“, chcą szkołę owładnąć i pchnąć szkołę na „nowe tory“. Inaczej jak perfidyą nazwać tego nie można.

Historycznym błędem jest również twierdzenie o „reformatorach“,

którzy reformy swe rozpoczęli rzekomo od wprowadzenia do szkoły dwóch „pań genewskich“. Skoro bowiem w zarządzie szkoły zasiadali stale przez lat 9 prof. Bujwid, Cybulski, p. Bujwidowa, ks. Knapiński, dr. Gross i prof. Bandrowski, zaś p. Bryl, p. Witkowski i p. Kulikowska od lat 4, nie można w żaden sposób określić epoki, w której to owi rzekomi „reformatorowie“ wtargnęli.

Jeżeliby zatem, jak to twierdzi autor „Czasu“, wprowadzenie „pań genewskich“ miało ową nową epokę rozpoczynać, to konstatujemy na tem miejscu, że jedna z owych „genewianek“, p. Helena Witkowska, została wprowadzoną do szkoły jeszcze w r. 1897 na posiedzeniu zarządu z 1/X ua wniosek dyrektora szkoły p. radcy Trzaskowskiego a druga „genewianka“, p. Marcelina Kulikowska, w dwa lata później na usilne prośby dyrektora przyjęła obowiązki nauczycielki. „Reformatorem“ był więc chyba jeszcze w r. 1897 roku p. radca Trzaskowski, który notabene swój wniosek o wprowadzenie owych „genewskich pań“ motywował wyraźnem życzeniem Rady Szkoluej Krajowej w kierunku zatrudniania sił kobiecych przy szkołach żeńskich. Konstatujemy dalej, że tenże p. radca Trzaskowski przez szereg lat na posiedzeniach zarządu z naciskiem podnosił gorliwą i pożyteczną pracę oraz pedagogiczne uzdolnienie owych „pań genewskich“.

Tak samo i Rada Szkolna Krajowa wedle reskryptu, zamieszczonego w drukowanem sprawozdaniu Dyrektora za r. 1902/3 str. 27, wyraźnie powiada: „Gorliwość i praca grona nauczycielskiego, dobranego starannie z pośród nauczycieli szkół średnich, jakoteż pań Baranieckiej, Dąbrowskiej, Kraskowskiej, K u l i k o w s k i e j i W i t k o w s k i e j (a więc i owych „genewianek“) wydaje rezultaty bardzo poważne, a ten piękny wynik trudów, poniesionych około wyższego wykształcenia kobiet jest niewątpliwie najlepszą dla Dyrekcyi i grona nauczycielskiego nagrodą“.

Całkiem tedy gołosłownem twierdzeniem jest ustęp artykułu „o ile wiemy władze szkolne już się zajęły stosunkami w zakładzie“. Jestto tylko chęć nastraszenia i steroryzowania opinii publicznej, tak samo jak owa pogróżka rzekoma o wstrzymaniu nadania szkole prawa publiczności. Faktem jest bowiem, że żadna odpowiedź na podanie o prawo publiczności do dziś dnia nie nadeszła, gdyż Rada Szkolna dotąd jeszcze nie przedłożyła podania Ministerstwu.

Fałszem jest dalej, jakoby dyrektor jednej z nowych nauczycielek „podziękował“ za tego rodzaju działalność. Prawdą jest natomiast, że jedna z nauczycielek, dr. filozofii z Bernu, z powodu stosunków osobistych zmuszoną była z Krakowa wyjechać i sama zgłosiła ustąpienie. Ani jednej nauczycielce dotąd tedy za działalność dyrektor nie „podziękował“. Wreszcie w r. 1903 przyjętą była jeszcze jedna siła nauczycielska, p. Stefania

Sempołowska („Warszawska radykałka“) o której szkodliwości wspomina autor artykułu. Konstatujemy jednakże, że przez $1^1/_2$ roku ze strony dyrektora nie wpłynęła na nią do zarządu żadna skarga, a Rada szkolna, uwzględniając słuszne żądania pewnych zmian w programie nauczania geografii do żądań tych się przychyliła.

Fałszem jest również, jakoby „dyrektor gimnazyum, dowiedziawszy się o tak rażących wykroczeniach przeciw duchowi zakładu wystąpił przeciw nim stanowczo“. Ani bowiem na posiedzeniach zarządu ani na walnych zgromadzeniach towarzystwa nie spotkaliśmy się z żadną, choćby najlżejszą aluzyą co do sposobu nauczania lub postępowania owych „szkodliwych według autora artykułu“ nauczycielek. „Nowy duch“, o którym mowa w artykule „Czasu“, a którego żywym wyrazem była od r. 1895 p. Kazimiera Bujwidowa (wymieniamy nazwiska, bo do walki idziemy z otwartą przyłbicą), miał jakoby żądać usunięcia z sal szkolnych obrazów religijnych. Jestto wierutnem kłamstwem, co stwierdzić mogą protokoły posiedzeń zarządu oraz, w razie potrzeby, zeznania wszystkich członków zarządu z wyjątkiem może p. radcy Trzaskowskiego, który wobec urojonego „nowego“ a właściwie starego (bo historycznie dawniej od p. Trzaskowskiego funkcyonującego w Towarzystwie „ducha“, cierpiał w ciągu ostatnich lat kilku na jakąś wprost manię prześladowczą. Faktem jest bowiem, że p. radca Trzaskowski przed dwoma laty oświadczył p. Bujwidowej w pogawędce prywatnej, że „byli tacy, co widzieli zirytowaną minę Pani wobec zawieszonych obrazów w klasach“. Dziś śmieszna ta plotka wygląda w „Czasie“ jako „konkretny fakt“ żądania usunięcia obrazów. Być może, że za lat 2 ogłosi to „Czas“ w tej formie, że „nowy duch“ własnoręcznie obrazy tłukł i wyrzucał! Z takimi zarzutami poważni ludzie przecież chyba liczyć się nie będą! Jeżeli to przytaczamy, to jedynie celem wykazania, na jakich to „konkretnych faktach“ opierają się autorowie artykułów w „Czasie“ umieszczanych,

Również „prawdziwemi“ są i cyfrowe wywody w ostatnim artykule „Czasu“. Kwota 606 kor., którą jakoby Towarzystwo zasilało szkołę, stanowi cyfrę uwidocznioną jako wkładki członków za rok ostatni w sprawozdaniu. A jest rzeczą powszechnie znaną, że rubryka wkładek członków jest we wszystkich prawie towarzystwach rubryką najmniejszą. Bo wiemy przecież, że we wszystkich Towarzystwach istnieją oprócz wkładek członków, datki jednorazowe, udziały, dochody z wieczorków, odczytów i t. p. O subwencye zwłaszcza starało się towarzystwo usilnie od pierwszych chwil istnienia. Toteż i Sejm i Rada miejska krakowska subwencye te Towarzystwu przyznali. Jedynie tylko rząd nie przyłożył się ani groszem do średniego wykształcenia dziewcząt, pomimo usilnych starań Towarzystwa gimnazyalnej szkoły żeńskiej.

Ale nawet poza subwencyami, owa pomoc Towarzystwa jako „kropla w morzu“ przez „Czas“ określana, wynosiła w innych latach koron: 1400, 1640, 2678, 2954 i t. d. i t. d.

Niemniej fałszywem jest twierdzenie, jakoby p. Trzaskowski, oprócz pracy i energii, włożył „kapitał pieniędzy, większy niż wszyscy inni członkowie-założyciele razem wzięci“. Faktem jest bowiem, że p. Trzaskowski włożył tylko 200 kor. gotówką, t. j. tyleż, ile każdy z 14-stu członków założycieli, w których liczbie mieszczą się obok p. Trzaskowskiego zarówno „nowe duchy“ jak i „genewskie panie“. Faktem jest natomiast, że p. Trzaskowski przez pierwsze dwa lata istnienia szkoły, kiedy szkoła liczyła 1, względnie 2 klasy, nie pobierał żadnej płacy jako dyrektor, jedynie tylko jako nauczyciel języka polskiego i łacińskiego otrzymywał płacę równą innym członkom grona nauczycielskiego. Jednakże już w tym drugim roku istnienia szkoły, Wydział Towarzystwa, nie chcąc korzystać z bezpłatnej Dyrekcyi, wyasygnował dyrektorowi kwotę 600 kor. na kuracyę (sprawozdanie drukowane na r. 1397, str. 10). Od r. 1898 pobiera dyrektor płacę w kwocie kor. 1000, a od r. 1902 kor. 1200.

Raz jeszcze t. j. w r. 1900 sprawował dyrektor obowiązki dyrektorskie bezpłatnie, ale wówczas był to dla szkoły rok krytyczny, bo wskutek znacznego zwiększenia lokalu, pieniędzy wprost brakło. Wówczas to z inicyatywy sekretarki Towarzystwa p. Maryi Wiśniewskiej, grono pań, matek uczenic przeważnie, zebrało drogą składek kwotę 1000 K i wręczyło ją dyrektorowi w formie daru honorowego i kwota ta jako dar p. Trzaskowskiego w sprawozdaniu za r. 1900, str. 13, jest uwidocznioną.

Gdyby się autor artykułów w „Czasie“ był lepiej poinformował, dowiedziałby się natomiast, że właśnie owe „genewskie panie“ swojemi pieniędzmi hojnie subwencyonowały Towarzystwo. Jedna z nich jest członkiem założycielem i prócz tego przez lat 5 opłacała czesne za niezamożną uczenicę po 200 K rocznie, a także w pomoce szkolne włożyła około 200 K. Druga była przez lat 4 członkiem wspierającym i dopiero od lat 3 jest członkiem zwyczajnym. (Członek wspierający płaci według dawnego statutu 50 K rocznie, a zwyczajny 24 K). Prócz tego obie te Panie w r. 1900 t. j. owym krytycznym, złożyły 100 K na akcye Towarzystwa.

Podajemy te cyfry nie dlatego, żeby czyjekolwiek zasługi obniżać lub podnosić, lecz dlatego jedynie, żeby wykazać, że całe grono osób dotychczas w Towarzystwie pracujących, ożywiał duch ofiarności dla instytucyi oraz żeby zaznaczyć, że artykuły w „Czasie“ na fałszywych danych oparte a widocznie złą wolą kierowane, mogą obałamucić opinię publiczną przez pozornie na cyfrach oparte wywody.

Aby zrozumieć obecne niesnaski, trzeba sięgnąć pierwszych lat założenia Towarzystwa. Jeden z członków założycieli i wydziału profesor

Uniwersysetu, po pierwszej maturze uczenic zaprosił profesorów, wykładających w gimnazyum na zebranie celem porozumienia się wspólnego z członkami zarządu i bliższego poznania się tak, aby stosunek między gronem nauczycielskiem a wydziałem polegał na wzajemnem zaufaniu. Dzięki intrydze do dziś dnia nierozwikłanej, zebranie to do skutku nie przyszło i odtąd wszelkie usiłowania wydziału, aby oba organa szkoły zbliżyć do siebie, rozbijały się ustawicznie. Charakterystycznem było na walnem zgromadzeniu dnia 15 marca r. b. oświadczenie prezesa Towarzystwa, rektora Uniwersytetu p. Cybulskiego, że p. dyrektor Trzaskowski, pomimo wielokrotnego żądania prezesa, nie zaprosił go ani razu na konferencyę nauczycielską! A już najznamienniejszem było postąpienie grona nauczycielskiego na obydwu ostatnich walnych zgromadzeniach, na których owe grono nauczycielskie (męzkie) jako zjednoczona opozycya wobec założycieli szkoły i Towarzystwa wystąpiło. Wynika z tego, że istotnymi „reformatorami“ szkoły byli z ledniej strony przed 7 laty p. dyrektor przez wprowadzenie „genewskich pań“, (jeżeli w tem wprowadzeniu było coś zdrożnego), a z drugiej strony grono profesorów, którzy dawnych ludzi wyrzucić pragnęli, by nowe osoby do wydziału wprowadzić.

Bardzo perfidnie postąpił sobie autor artykułu w „Czasie“ dowodząc, jakoby wniosek o jednanie członków Towarzystwu z pośród rodziców uczenic został na walnem zgromadzeniu odrzucony. Faktem jest bowiem, że wniosek ten, który zresztą oddawna przez wydział był uwzględniany zarówno z wszystkiemi innemi wnioskami o zmianę statutu, został przekazany przyszłemu wydziałowi do rozpatrzenia. Ale czemu nie popróbować wszczepić rozgoryczenie w umysły rodziców dzieci? Szkoła była założoną i prowadzoną do dziś dnia przez jedne i te same osoby, które też i obecnie do wydziału po raz trzeci weszły. Autorowie artykułu w „Czasie“, starają się jednak przerazić opinię bredniami o „reformatorach“, „nowych duchach“, „nowych torach“, na które rzekomo dziś ma być szkoła popchniętą i t. p. straszakach na ludzi zdaleka od sprawy stojących.

Jeżeli bowiem wyrzuceni przez ową opozycyę pp. Bandrowski, Bujwid, Gross, Bujwidowa i Kulikowska, przez 9 lat kierowania szkołą i Towarzystwem, nie wprowadzili „szkodliwego, nienarodowego i niechrześciańskiego kierunku“, to czemużby dziś tak nagle uczynić to mieli? A może owymi reformatorami, mającymi owe zgubne prądy zaprowadzić będą dyrektor gimnazyum Sobieskiego p. radca Sołtysik, albo dyrektor szkoły realnej p. poseł Petelenz lub wreszcie prezes Związku pomocy narodowej i prezes Rady nadzorczej Towarzystwa szkoły ludowej p. mecenas Gertler.

Może to są ci owi „nowi ludzie“, których wpływu na szkołę społe-

czeństwo obawiać się winno? Zaiste, albo zła wola, albo niewiadomość, nie do darowania, mogła podyktować autorowi artykułów w „Czasie“ wszystkie te wykrętne informacye, których jedynym rezultatem jest wprowadzenie w błąd i zaniepokojenie opinii.

Zdaje się, że owa instytucya szkoły gimnazyalnej wywalczona szeregiem walk z przesądami i obawą ogółu a dziś dobrze prosperująca i należycie zagospodarowana, stała się łakomym kąskiem dla pewnych jednostek, które pod pozorem walki o zasady i przekonania, mszczą się za nieudany rezultat kampanii na osobach zacnych nauczycielek przez zmyślone lub przekręcone oskarżenia. Należytą ocenę etycznej strony całej tej kampanii zostawiamy czytelnikom.

Podkreślamy jedynie, że niedaleko odbiegliśmy od czasów, gdy na rynku krakowskim palono „heretyczki“. Autorowie artykułów w „Czasie“ z gustem przypatrywaliby się zapewne widowisku stracenia „genewskich pań“ i „radykałek warszawskich“ wraz z „z nowemi duchami“. Konstytucya austryacka staje jednak niestety przez zapewnienie wolności sumienia i przekonań obywatelom państwa — takiemu widowisku na przeszkodzie!

X.

KONKURS NOWEGO SŁOWA.

Na konkurs „Nowego Słowa“, którego termin upłynął dnia 1 kwietnia, nadesłano prac 91. Wobec tak wielkiego materyału, rozstrzygnięcie konkursu musi być odłożonem do dnia 1 czerwca b. r.

Tytuły nadesłanych prac, zamieścimy w najbliższym numerze.

ZANIEDBANĄ DZIEDZINA.

„Znamiennym prądem wśród teraźniejszej młodszej inteligencyi polskiej jest prąd etyczny“ – czytamy w jednej z świeższych publikacyi, poświęconej specyalnie charakterystyce współczesnych prądów umysłowych i politycznych w społeczeństwie polskiem. Dalsze określenie zasadniczych cech tego etycznego prądu wskazywało by, że jest on nietylko znamiennym dla umysłowości polskiej doby ostatniej, ale jest prądem górującym nad wszelkimi innymi i obfituje w cechy, świadczące o nadmiernej nawet wybujałości. Współczesny ruch etyczny nasz ma bowiem uznawać wewnętrzne doskonalenie się za sprawę najważniejszą, od której wszystko inne w społeczeństwie jest zależnem. Warunki zewnętrzne przez przed-

stawicieli jego mają być zupełnie ignorowane; według nich człowiek i duch jego ma możność wyodrębnić się zupełnie od całości społeczeństwa. Dogmatem ich ma być twierdzenie, że zmiany prawno-polityczne są tylko funkcyą zmian, zaszłych w psychice ludzkiej, że skoro zatem społeczeństwo polskie odrodzi się moralnie, przekształci psychicznie, to uzyskanie lepszych warunków zewnętrznych dla jego rozwoju społecznego i narodowego będzie tylko kwestyą niedługiego czasu. Wszystko to świadczyłoby o wybujałości etycznego ruchu, o gruncie uprawianym przez szeregi lat, przez legiony fanatycznych pracowników.

Tymczasem rzeczywistość nie odpowiada temu w żadnym stopniu. Nie mamy nic w rodzaju zachodnioeuropejskich „Towarzystw kultury etycznej“, ani jednego pisma, poświęconego zagadnieniom etyki społecznej, z oryginalnych dzieł wymienić można tylko Świętochowskiego: „O powstawaniu praw moralnych“, przetłomaczono „Zasady etyki“ Spencera, „Zasady moralności“ Giżyckiego, „Rozwój moralności“ Letourneau i w ostatnich latach Höfdinga „Etykę“. Kto wprawdzie pamięta żywe zainteresowanie się kwestyami moralnemi, jakie obudził przed 19 laty przekład Spencera, ten spodziewać się wówczas mógł, że namiętne dyskusye, toczące się z powodu świetnej bądź co bądź próby angielskiego filozofa oparcia etyki na podstawach naukowych dadzą trwały impuls do stworzenia ruchu etycznego. Niebawem jednak zainteresowanie się wyczerpało się w ciągu kilku lat następnych, zapanowało zobojętnienie do kwestyi etycznych wprost rażące w publicystyce, a straszne w skutkach w wychowaniu. I dziś wśród najmłodszej inteligencyi widzimy niepomiernie wielką liczbę ludzi, którym w epoce ich rozwoju odebrano możność zaspokojenia naturalnej potrzeby wyrobienia sobie ogólnych norm postępowania, ideałów moralnych. Konieczność psychologiczna uzasadniania pojęć i postępków (prawo maksymacyi), pchająca człowieka do chwytania się istniejących zasad lub do tworzenia nowych, zdolnych zaprowadzić pewien ład duchowy, pewną logikę życia — chociażby najnaiwniejszą — sprawia, że ten brak wyrobienia sobie pewnych, ogólnych pojęć etycznych w odpowiedniej epoce życia, mści się na nich srogo. Część tych rozbitków duchowych pływa jakiś czas na powierzchni życia z pewną brawurą, później jednak odczuwają oni gorzko ponurą pustkę swego życia. Kto takich rozbitków spotykał, ten widział, ile w nich kryje się zdrętwiałej energii, apatyi i smutku. Nie przewaga prądu etycznego nad innymi, ale brak silniejszego i szerszego ruchu etycznego, znamionuje współczesną umysłowość polską.

Autor „Współczesnych prądów umysłowych i politycznych“ pewne objawy reakcyi przeciw pozytywizmowi, zwrotu ku metafizyce, neomesyanizm głoszony przez Lutosławskiego i Szczepanowskiego, wziął za

przejawy ruchu etycznego. Przypuszczam, że dziś, w dwa lata po opublikowaniu swych szkiców autor, uznać by musiał, że przecenił przedewszystkiem intenzywność tych kierunków, a dalej stwierdzić by musiał, że nie stworzyły one nawet żadnych warunków dla powstania ruchu etycznego na szerszą skalę. Jeśli chodzi o ich określenie to były to echa reakcyi antypozytywistycznej na gruncie galicyjskim. Charakterystycznem dla nich jest to, że nie wyzyskano nawet wzniosłych koncepcyi etycznych, opartych na gruncie naukowym M. Guyau. Prace filozoficzne Guyau i Fouillégo powstały nadal nieznane szerszemu ogółowi polskiej inteligencyi.

Nie dr Judym, lecz mali Podfilipscy charakteryzują nastrój moralny społeczeństwa polskiego. Wiem o tem, że przepaści między jednym, a drugim nie wypełni żaden ruch etyczny; wiem, że oni istnieć nadal będą. Nie słowa i morały stwarzają moralność, ale warunki życia. Słusznie pracujący na niwie społecznej wymagają przedewszystkiem czynu, gdyż działalność skierowana ku naprawie warunków i treści życia ogółu, jest już sama przez się moralną i w następstwach swych do umoralnienia prowadzi. Bezsilność praw i formuł postępowania wobec przeciwnych warunków bytu, widoczna po wszystkie czasy i wszędzie, pozwala działaczom społecznym lekceważyć etykę i zasady. Jak wszelka reakcya bywa jednak krańcową i jednostronną tak i w tym wypadku, wybierając dla podniesienia cywilizacyjnej skali życia jedną drogę: uregulowania wzajemnych między ludźmi stosunków, popełnia się błąd, zapominając, że życie zbiorowe nie jest tak proste, aby do któregokolwiek z jego celów prowadziła tylko jedna droga. W lekceważeniu etyki przez ludzi oddanych pracy społecznej tkwi zresztą jawna niekonsekwencya. Posługując się zasadami i teoryami w celu odpowiedniego uświadomienia w zakresie pracy zbiorowej, ci sami ludzie pomijają drogę poznania teoretycznego w sferze szerszej nawet, bo całego życia w stosunku do jego wartości moralnej. Sprawa szerzenia zasad etycznych tem bardziej jest ważną i naglącą, że krytycyzm naukowy, chociażby muskając tylko ogół umysłów młodzieży, w większości wypadków nie przyniósł żadnych nowych poglądów etycznych na miejsce obalonych. Chwiejność, lub brak poglądów w dziedzinie wiedzy przyrodniczej, socyologii, filozofii często jeszcze nie są zgubnemi dla jednostek i chociaż postęp ogólny opóźniają, to jednak zazwyczaj na zbyt wielkie szkody społeczeństwo nie narażają. Brak natomiast zasad postępowania, chwiejność w ocenie dobrego i złego, brak kryteryum moralnego stwarza z ludzi bezwiednych szkodników. Niezawodnie ekonomiczne i społeczne warunki stanowią przedewszystkiem o dobrem i złem postępowaniu, nie mniej jednak normy moralne składają się również na ostateczny rezultat działających wpływów i brak ich jest jednym więcej z warunków zła.

Ruch etyczny, idący w parze z szerokimi prądami społecznymi, będący dopełnieniem i pogłębieniem ruchu społecznego i politycznego w najszerszem tego słowa znaczeniu stać się może niezmiernie doniosłym i płodnym w skutki. Powinien on wyjść z dotychczasowej sfery ogólników na grunt realny istniejących stosunków, ażeby je udoskonalić przez oddziaływanie na opinię publiczną. Do stworzenia takiego ruchu etycznego powinno dążyć się świadomie i celowo. Aby powstać mógł, powinno się przedewszystkiem jak najczęściej poruszać kwestye etyczne, bieg życia oceniać ze stanowiska najogólniejszych idei moralnych. W kierunku praktycznym należałoby, wzorując się na tak rozgałęzionych w Europie i Ameryce „towarzystwach kultury etycznej“, powołać do życia i u nas podobne instytucye, aby była niejako organem społecznym dla podniesienia i szerzenia etyki, któryby podawał krytyce i ocenie całe szeregi faktów życia bieżącego, domagających się sądu. Stworzenie ruchu etycznego powinno być dziełem tych ludzi, którzy nie mogą brać czynnego udziału w żywej akcyi społecznej, których rażą ostre formy walki stronnictw i partyj politycznych. *J. Dobhof.*

OCHRONA MACIERZYŃSTWA.

Z końcem lutego odbyło się w Berlinie pierwsze walne zgromadzenie „Związku dla ochrony macierzyństwa“, przy licznym udziale kobiet ze sfer posiadających. Z okazyi tej wypowiada korespondent berliński „Schwäbische Tagwacht“ następujące uwagi:

„Związek ten dąży do poprawienia położenia nieślubnych matek i dzieci w życiu społecznem i w prawie. Jak wszystkie inne ruchy mieszczańsko-filantropijne, tak łączy i ten zdrową myśl z niejasnem marzeniem dyletanta w osobach pani Ruth Gré, którąby chciała przywiązać nieślubne matki do skrawka ziemi, by na nim znajdowały utrzymanie, oraz liberalnego radcy sądowego p. Sello, który wyszukuje tylko rzeczy mniej lub więcej dobre, by módz dla nich szafować swymi niezmiernymi skarbami... krasomówstwa. W tem mieszanem towarzystwie niema — rzecz naturalna — mowy o systematycznem pogłębianiu problemu. Kto nie chce mężczyznom klas posiadających, wyjąć z rąk władzy, ten nie może się spodziewać reform ustawodawczych w duchu ochrony macierzyństwa. Kto nie zwalcza z gruntu pojęć o moralności społeczeństwa mieszczańskiego, ten nie zdoła podnieść w opinii publicznej „upadłych“ dziewcząt. Kto zgadza się ze stanem, w którym u drzwi milionów ludu pracującego stoi głód, ten nie znajdzie środków dla zapewnienia nieślubnym matkom i dzieciom możliwości zdobycia środków do życia. Jest to rzeczą tak jasną i zrozumiałą, iż wstyd, że tak często to wspominać należy. Znaczenie takich filantropijnych strumyczków (*Sonderbestrebungen*) nie polega na małych widokach ich urzeczywistnienia, ale na tem, iż są symptomatami ogólnego kierunku czasu. W szerokich kołach mieszczańskiego społeczeństwa, a zwłaszcza w kobiecych kołach wielkich miast budzi się pewna potrzeba wyjścia z fili-

sterskiej ciasnoty pojęć. Jedyny środek, to rzucenie się na pewną wyrwaną z całości światopoglądu społeczno-demokratycznego myśl, czy to będzie ochrona robotnicza, czy pokój światowy — w danym wypadku ochrona macierzyństwa – i uczynienia jej głównym celem działalności publicznej. Rzadko kiedy macza w tej grze ręce zgrabne geszefciarstwo polityczne, mające na celu interes klas panujących: częściej chodzi o pewną naiwność polityczną, która wywołuje raczej litość niż zasługuje na kpiny. Ruchy takie przynoszą w wyniku sławę dzień trwającą, kilku paniom i panom. Społeczeństwo mieszczańskie nie stawia swym ekscentrycznym dzieciom oporu, gdyż wie, iż wobec ich skromnych sił w zupełności wystarcza bierny opór lenistwa. Jeżeli społeczeństwo mieszczańskie nie obawia się „działalności" tych kilku osób, to my nie powinniśmy spodziewać się, iż te boczne strumyki przyśpieszą prąd szerokiej fali naszych żądań. Może się to dotkniętym zdawać dumą: słów tych nie dyktuje duma olbrzymiej partyi wobec małej gromadki ludzi, lecz uzasadniona własna ocena wielkiego, wszystko ogarniającego światopoglądu, wobec niejasnej polityki eksperymentu, która nie zdaje sobie nawet dokładnie sprawy ze swych podstaw".

Na te bardzo słuszne uwagi odpowiedziało klerykalne pismo „Badischer Landsmann" wywodem, który przytaczamy poniżej, ponieważ jest bardzo charakterystyczny dla dzisiejszego chrześcijaństwa:

„Dzieci nieślubne nie ponoszą, rzecz zrozumiała, żadnej winy. Wszak np. zajmował się niemi ś. Wincenty, a my szliśmy zawsze za jego przykładem. Ale by z kasy gminnej popierać te wszeteczne dziewki!—dziękujemy pięknie. Widzimy o co chodzi... Zamiast usuwać złe, pomagać księżom w ich umoralniającem działaniu, ośmiesza się kościół, księży, spowiedź, wdziewa na się płaszczyk humanitarności i zbiera pieniądze dla wszetecznych dziewek. Należy zapobiegać chorobom, a nie nagradzać występku".

W artykule zatytułowanym „Dzieci gminy" omawia w „Komunale Praxis" Edmund Fischer sprawę nieślubnych dzieci.

„Państwo dzisiejsze — pisze Fischer — karze ostro spędzanie płodu. Świadczy ono tem, iż urodzenie dziecka przynosi społeczeństwu korzyść; życie zaś dziecięcia rozpoczyna się już w łonie matki, a nie dopiero z urodzeniem. Konsekwencyą tego, prawem popartego zapatrywania jest obowiązek społeczeństwa zaopiekowania się dziecięciem, jeżeli matka tego zrobić nie może."

Jak wygląda sprawa ta w życiu. Podnoszone często żądania państwowego ubezpieczenia sierot, opuszczonych i nieślubnych dzieci, długo jeszcze czekać będą na urzeczywistnienie. Obecnie opieka nad dziećmi znajduje się w Niemczech w rękach gmin. Za najważniejszy w obecnej chwili krok w tej sprawie, uważa Fischer dobrą organizacyę opieki przez gminy.

Przed stu przeszło laty, 28 czerwca 1793 r. uchwaliło francuskie zgromadzenie narodowe następującą ustawę:

1. Naród bierze na się obowiązek czuwania nad fizycznem i moralnem wychowaniem opuszczonych dzieci.

2. Dzieci te otrzymują nazwę sierot (*orphelins*), a wszelakie inne ich nazywanie jest wzbronione.

3. W każdym dystrykcie urządza się zakład połogowy, w którym kobiety w każdym miesiącu poważnego stanu znaleźć mogą schronienie.

4. Każda dziewczyna, która zapragnie sama karmić swe dziecię, ma prawo do zapomogi państwowej.

Dekretem z 4. lipca 1793 r. zostały dzieci opuszczone nazwane dziećmi ojczyzny.

Rząd burżuazyjny nie wprowadził w życie tych uchwał. Jak za czasów feudalnych, tak teraz umieszczano dzieci w domach dla podrzutków. Czem te domy były dla dzieci, o tem świadczą cyfry: 50–70% niemowląt umierało w nich w pierwszym roku życia, podczas gdy śmiertelność ślubnych jednolatek w tym czasie 25% tylko wynosiła. Od 1816 do 1837 zmarło w paryskim domu dla podrzutków 82 tysiące dzieci z 108 tysięcy tam umieszczonych.

W Niemczech panuje system oddawania dzieci na wychowanie rodzicom, podejmującym się tego zadania, za pewną opłatą. Według obliczeń docenta berlińskiego uniwersytetu, dr. Hugona Neumana, zmarło w r. 1890 42% powierzonych domowej opiece dzieci. Urzędnik saski v. Beschwitz w następujący sposob oświetla opiekowanie się dziećmi w gminach wiejskich: „Niektóre gminy oddają nieślubne dzieci lub sieroty, te najuboższe z ubogich istot, na wychowanie tym, którzy najmniejszej żądają zapłaty; jasną jest rzeczą, że opieka roztoczona nad temi dziećmi nie będzie najlepszą“. Fakty te nie przemawiają jednak przeciw systemowi dawania dzieci na wychowanie poszczególnym rodzinom. „Chodzi o znalezienie porządnych wychowawców i o zorganizowanie ciągłej kontroli. Jest to możliwem tylko wtedy, gdy dzieci zostają w gminie swego urodzenia. Jeżeli zapłata, udzielana za wychowanie, nie jest zbyt niską, to znajdzie się umieszczenie dzieci w rodzinie tak sytuowanych, iż można się od nich spodziewać dobrego odżywiania i opieki. Pominąwszy to, istnieją bezdzietne małżeństwa, które z ochotą biorą za zapłatą dzieci na wychowanie i opiekują się niemi troskliwie. Dzieci, których nie można dobrze pomieścić u rodzin, powinny być wychowywane w zakładach. Tak więc oba systemy mogą obok siebie istnieć“.

Drugą bardzo ważną sprawą jest ścisła kontrola.

„Ale, kończy Fischer swe rzeczowe wywody, jak wspomniałem na początku, żywot dziecięcia nie poczyna się dopiero z jego urodzeniem; również i bezsilna położnica musi być otoczona troskliwą opieką. Chciałbym wskazać na Paryż, rządzony przez społecznych demokratów, mający w swej opiece 50.000 dzieci. Paryż stoi pod względem opieki roztoczonej nad położnicami i dziećmi w pierwszym rzędzie. Ma zakłady, przyjmujące kobiety w ostatnich czasach przed połogiem i starające się o to, by dziecię w jak najlepszych warunkach na świat przyszło. Inne zakłady mają za zadanie umożliwienie kobietom po połogu się znajdującym, przepędzenie pewnego czasu w pokoju“ i t. d.

Fischer uważa, iż opieka nad opuszczonemi dziećmi powinna zostać w rękach gmin, państwo zaś powinno wpłacać pewne zapomogi miastom, by mogły odpowiedzieć temu ważnemu zadaniu wychowywaeia „dzieci ojczyzny“.

Ciekawem byłoby bardzo zbadanie odnośnych stosunków w Galicyi. Zbadanie tych stosunków nie byłoby tak trudnem. W statystyce miejskiej dobroczynności i wydziału krajowego, że pominę już osobiste wyjaśnienia, znalazłoby się materyału dosyć. Materyał ten dostarczyłby cennych argumentów dla walki o reformę ordynacyi wyborczej gminnej.

Kaer.

KORESPONDENCYA.

(Z Uniwersytetu).

Kraków, w marcu 1905.

Chcę scharakteryzować pewien odłam młodzieży, który w ostatnich dwu miesiącach skorzystał z wszystkich sposobności, by wypowiedzieć swoje *credo* i wymazać się z rzędu tych, co mają jeszcze pewne cele, co kochają jeszcze to, co pokochała ludzkość. Chcę wam napisać kilka słów o naszej narodowej demokracyi na uniwersytecie, będącej obecnie w całej pełni rozwoju swego wstecznictwa i barbarzyństwa, zwanego szumnie egoizmem narodowym. Nie chodzi mi o krytykowanie ich partyjnego programu — bo nie na to pora i miejsce. Ale chcę wskazać na ten demoralizujący wpływ, jaki wywierają, deprawując i obniżając życie ideowe młodzieży!

Nieraz patrzę na nich, jak ślimaczymi krokami pełzają ku czemuś, co nazwali swym celem i mam wrażenie, że są to ludzie chorzy, którym ktoś naiwnie wmówił, że gdy sobie samym rany otworzą, zostaną nagle uzdrowieni. Znam ich, bo codziennie się z nimi stykam i widzę, że ci ludzie w m ó w i l i w siebie że dążą ku celowi dalekiemu, odległemu jeszcze — i dlatego posiadającemu wszelkie warunki wielkości, mierzonej metrami! A dla pobłażliwszego sądu trzeba dodać, pisząc o nich, że są to wychowankowie specyalnej atmosfery galicyjskiej, w której udają się i mnożą takie narodowe bacciluse.

Ta przeklęta atmosfera życia galicyjskiego, specyalnie galicyjskiego pod tym względem, że zabija wszelkie życie ideowe, że za ideał stawia już dzieciom, bedącym jeszcze w powijakach – k a r y e r ę, że tu egoizm i sobkostwo święci swoje tryumfy, które w najbrutalniejszej formie wdarły się nawet z życia prywatnego do życia publicznego, że tu właśnie operują wszelkiego rodzaju dusiciele i gasiciele młodzieńczego ognia i świętego zapału, rozgrzewającego serca do czynu, że tu właśnie chodują się wszelkich, w cieniach mroku i nocy trudnych do rozpoznania odcieni puszczyki, bojące się wschodu słońca – sprawia, że pokolenia młodsze karleją, że każdemu żyjącemu w takich warunkach grozi zatrucie!

W odniesieniu do naszego życia uniwersyteckiego, daje się to stwierdzić tak często, że nie trudno o przykłady.

I dlatego zrozumiałem jest dla nas, że byle frazes może pociągnąć za sobą tych, co w późnem czekaniu na spełnienie się rzeczy wielkich, nie mieli w sobie dość siły, by się samym do pracy, do czynu porwać! W ten sposób sumienie zostanie zaspokojone!

I dlatego zrozumiałem jest dla nas, to ciągłe opadanie niżej i niżej narodowej-demokracyi, która w patryotyzmie orzełkowo-kokardkowem wychowała swych młodych pupilów, ograbiwszy ich z wszelkiego polotu i zapału a nauczywszy za to być „trzeźwymi“ (!) i w imię tej trzeźwości (?) zabraniać kolegom nie-polakom, mówić w swym ojczystym języku choćby w knajpie! Oto fakt: Zeszło się w restauracyi paru rusinów i dwu rosyan, słuchaczy uniwersytetu i rozmawiali z sobą po ukraińsku i po rosyjsku. To dało powód paru kondycyi wszechpolskiej kolegom, siedzącym obok do poważnego protestu przeciw tak oburzającemu ich uczucia narodowe, używania w polskiej knajpie niepolskiego języka! Przy jednym z bocznych stolików siedzieli wojskowi, którzy rozmowę prowadzili między sobą po niemiecku. Na tyle jednak rozumieli po

polsku, że dopytali się o powód sprzeczki i ostrej wymiany słów, jaka wybuchła z powodu prowokującego zachowania się młodych obrońców, zagrożonej w knajpie polskości. Wyszli z restauracyi, a jeden z nich rzucił obelżywe niemieckie słowa pogardy — tym razem niestety zasłużone.

Pomyślcie, tak z dnia na dzień, coraz dalej będą grząść ci protestujący po knajpach, coraz reakcyjniejsze będą stawiać na wiecach i komersach akademickich rezolucye — i to wszystko będzie dalej dziać się pod szatą i sztandarem ideowości! Zedrzeć tę maskę i przenicować ich duszę — to zadanie wszystkich: nie postępowców, nie socyalistów, nie ludowców, ale wszystkich co pragną i kochają prawdę, a brzydzą się i gardzą fałszem i obłudą!

Dla scharakteryzowania naszej krakowskiej narodowej-demokracyi (czytaj: demagogii) muszę zanatować jeden jeszcze objaw jej dwulicowości. Oto z początkiem marca odbył się we Lwowie zjazd „Ogniwa", związku polskich stowarzyszeń akademickich w Austryi. Na zjeździe tym narodowo-demokratyczni delegaci z Krakowa nie odważyli się przemawiać tak, jak prowokująco przemawiają na każdem zebraniu w Krakowie! Nie odważyli się dlatego, że przyjechali do Lwowa, gdzie poziom ideowy wśród narodowo-demokratycznego odłamu jest o tyle wyższy, że bali się kompromitacyi wobec swych współkolegów z tego samego obozu. W Krakowie na jednem z najważniejszych zebrań młodzieży akademickiej, zwołanem w sprawie zajęcia stanowiska wobec najżywotniejszych spraw, obchodzących i wstrząsających dziś naszem społeczeństwem, postawiła młodzież narodowo-demokratyczna taką rezolucyę, która, gdyby była przeszła, stanowiłaby dokument zupełnego zdeprawowania życia ideowego większości akademickiej. Oponowali oni przeciw uchwaleniu rezolucyi takiej, jaką parę dni przedtem uchwaliła lwowska młodzież narodowo-demokratyczna!

Pisząc tych kilka słów o tym odłamie młodzieży na uniwersytecie, nie mogę nie wyrazić zdziwienia, że odłam postępowy wobec takich dowodów prowokacyj nie ma wcale a wcale zamiaru czynnego przeciwdziałania tym reakcyjnym prądom, zapuszczającym coraz głębiej swe korzenie. Czy replika słowna wystarcza?

Kolega.

ZDENKA MARKOWIĆ.

CHORWACKIE AUTORKI W DOBIE ODRODZENIA.

(Dokończenie).

W r. 1845 straciła matkę, a śmierć ta wstrząsnęła nią silnie. W rok później, spotykamy Jernevićównę, jako nauczycielkę domową w jednym z majątków obywatelskich w Zagorju.*) Ale jak dawniej, tak i teraz praca ta, pociągająca za sobą często upokorzenia, nie mogła jej dać prawdziwego zadowolenia, to też za krótki czas opuszcza Dragojla i to zajęcie i powraca do rodzinnego domu.

Po powrocie zajmuje się pilnie przez lat parę (1850—1853) wycho-

*) Północno-zachodnia część Chorwacyi właściwej.

waniem i nauką młodzieży w Karlovcu. Po trzecim roku zaprzestała naukę w samym Karlovcu, oddając ją w ręce swych następczyń, a rozpoczęła daleko trudniejszą i cięższą pracę po okolicy Karlowca, a następnie i w dalszych stronach swej ojczyzny, gdzie przenosząc się z miejsca na miejsce, z miasteczka do miasteczka, od wsi do wsi, uczyła starych i młodych, mężczyzn i kobiety, mieszczan i lud wiejski nie tylko czytania i pisania, ale także i przedewszystkiem, gospodarstwa domowego, uprawy roli, chowu bydła, utrzymywania sadów i winogradów, chowu jedwabników etc., czytając przy tem swym uczniom książki gospodarcze, lekarskie i t. d. Był to najcichszy, ale i najcięższy, a najdonioślejszy i bogaty w owoce okres pracy młodej patryotki. Zasługi jej położone w tym czasie i tą pracą nie dadzą się nawet dokładnie i należycie ocenić.

W r. 1865 przenosi się do Karlowca, gdzie pozostaje aż do swojej śmierci tj. do r. 1875. Na ciężkie czasy przypada ten dziesięcioletni okres działalności chorw. patryotki w rodzinnem mieście. W dobie tej gospodarowalo w twierdzy karlowackiej wojsko i główna komenda tz. górnej Krainy (t. j. zachodnio-północnych części Chorwacyi po rzekę Sawę), wskutek czego zagnieździł się wśród warstw inteligentniejszych duch niemiecki, a nawet w gimnazych i klasztorach książka niemiecka główną odgrywała rolę. I Jarnevićówna wiele się odtąd zajmuje niemiecką literaturą. Czyta bardzo wiele i do tego bez wyboru i planu. Całe szczęście, że sama silnego charakteru i woli, a szlachetnymi zawsze wiedziona ideami, umiała otrząść z siebie, co brudne i nędzne, a przejąć się wszystkiem, co piękne i dobre. W ideały jeszcze wierzyła, stworzyła w nich cały, osobny świat, w którym żyła, choć w życiu codziennem często spotykało rozczarowanie, płaskość i podłość najlichszą. Jej wymagania od świata i ludzi, jej marzenia i przekonania, jakimi by powinni być ci ludzie i ich życie, stawały się coraz wznioślejszemi, ale i coraz bardziej niedosiężnemi. „Powstał — pisze ona sama — jakiś chaos w mej duszy i rzuca mną nieustannie to tu, to tam, napełniając niepokojem, bezimienną jakąś tęsknotą i smutkiem. Byłam już dojrzałą dziewczyną i zamiast weselić się jasnym światem i młodemi laty, ja zamknęłam się w swym kącie i męczyłam się, pytając wiecznie duszę i serce: dlaczego nie chcą być w zgodzie z resztą żyjącego świata? Jakieś mię pragnienie opanowało, a niewiedziałam czego pragnę — i tak przeszły lata całe“... „W 18 roku przejrzałam, — poznałam, że naród mój stoi jeszcze na bardzo niskim stopniu kultury. Chwyciłam się książki, chciałam być uczoną. Gdy poczęłam czytać wieczorem po skończonej pracy, nie odkładałam książek, póki nie zabieliła się zorza“...

I teraz przyszedł moment, w którym zwróciła na siebie uwagę innych. Jeszcze kiedy była w Grazu na kuracyi, drobny, na pozór bez zna-

czenia wypadek wpłynął znacznie na całą późniejszą jej działalność. Podczas jednej przechadzki zaszła Dragojla na szczyt zamkowej góry t. zw. Schlossbergu, gdzie stoi starożytna wieża zegarowa. Na wewnętrznej ścianie wieży zauważyła wiele wypisanych nazwisk i dat. Tu też wyczytała pod datą 1839 r. ową strofę:

„Zdrav mi svaki bratac bio,
Koj je godjer voda moga,
Kom je jezik ovaj mio,
Koji me je zazumio,
Sva mu szeća dosta od Boga!“ *)

Nic dziwnego, że w tych czasach głuchej nocy w dziejach intellektualnego i społecznego życia Chorwacyi, kiedy najlepszy patryota chorwacki nie umiał jeszcze dość odpowiednich słów znaleźć w swym języku, aby wyrazić swą myśl i uczucie, – nic dziwnego, że w takich czasach i ten naiwny, przygodny wierszyk silnie podziałał na młodą, uświadamiającą się własną pracą i myśleniem Chorwatką. Niezwykłe uczucie ją opanowało; oko nabiegło łzami, a serce zadrżało radośnie od nieznanej dotychczas słodyczy. Chociaż dotychczas nie próbowała jeszcze ni razu pisać wiersze po chorwacku, przecież wzięła ołówek drżącą ręką, by odpowiedzieć nieznanemu poecie „ściennemu“. Odpowiedź brzmiała:

„Ilirkinja ’e vodi jedna
Koja jezik ovaj zazmi,
Premda ona tebe ne zna,
Vender joj je kruto drago,
Da je našla ove riječi
Kojim srce svoje lieči“.
Ilirkinja iz Karlovca. **)

„Och! jak szalenie serce mi biło, gdym pisała tę odpowiedź bratu Illirowi; od łez radosnych pociemniało mi w oczach. Gdybym była mogła, krzyknęłabym, żeby się było echo po całej Słowiańszczyźnie wzdłuż i wszerz rozległo: Jam jest Słowianka! Była to uroczysta chwila dla mnie, był to moment odrodzenia całej mojej istoty, moment obudzenia się nowej epoki w mojem życiu“.

Drobny ów wiersz na obczyźnie wzbudził w jej sercu taką miłość do rodzinnej mowy i ojczystej sprawy, że odtąd żadna ofiara dla nich nie wydała się jej za wielką.

---

*) Co znaczy: Witaj mi bracie każdy, któryś mego rodu, – każdy, komu język ten miły, kto mię rozumie! Niech szczęście spłynie od Boga!

**) Co znaczy: Jest tu jedna Illirka, która język ten rozumi i choć cię nie zna jednak miło jej bardzo, że znalazła owe słowa, któremi serce swoje koi. Illirka z Karlovca).

Wspomniany wyżej Ivan Truski (studyował właśnie w tym czasie w Gracu), skoro tylko wiersz ten zauważył, wypytywał się na wszystkie strony, kto go napisał i wtedy po raz pierwszy posłyszał o Jarnevićovnej. Uradowany, szczęśliwy zapoznał się z nią bliżej i od tej chwili nieustannie zachęcał ją do pracy literackiej i dodawał odwagi.

Wam się wyda może, czytelniczki Polki, cały ten fakt i jego znaczenie trochę naiwny, małostkowy, albo może przesadny na pierwszy rzut oka; gdybyście jednak dokładnie poznały dzieje odrodzenia chorwackiego narodu, gdybyście się cofnęły myślą do tej dziecięcej, niedołężnej doby narodu, kiedy on pierwsze kroki samodzielne nieśmiało zaczął stawiać, zrozumiałybyście co znaczył i taki drobny, przygodny, słabej zresztą wartości literackiej wierszyk okolicznościowy dla dusz, budzących się w pierwszych brzaskach wskrzeszonej miłości ojczyzny. Zrozumiałybyście, jak doniosłe mógł mieć znaczenie i taki wierszyk „ze ściany“, w którym uczucie patryotyzmu wylewało się szczerze i otwarcie, choć naiwnie i po prostu — w czasie, kiedy najgorętszym patryotom brakowało słów we własnym języku, kiedy ojczystą mową gardził każdy, kiedy — jak opisuje jeden z naszych powieściopisarzy — gdy pieśń chorwackiego wieśniaka wyrwała się z radosnych, swobodnych piersi i przez okna biskupiego pałacu wpadła do sal gościnnych, zebrani panowie i panie zdziwieniem i wstydem zapłonęli, a gospodarze co prędzej głos podnieśli, chcąc swą rozmową przygłuszyć pieśń „prostaczą“.

W takiej chwili nic dziwnego, że każda nowa zwrotka w języku ojczystym napisana musiała radością przejmować patryotyczne serca. To też i Truski, poznawszy w Jarnevićownej dzielną Chorwatkę, nieustannie dodawał jej odwagi i zapału do pracy na niwie ojczystego piśmiennictwa. Od tej chwili ukochała ona całą duszą swój zaniedbany język ojczysty. Truski dał jej chorwacki słownik i gramatykę i ludowe przysłowia i uczył ją, jak ma i nad czem pracować. Pierwszą jej pieśnią była: „Tęsknota za ojczyzną“.

Oko tamo prama jugu gleda,
Odakle se otkinuti neda...*)

Był to pierwszy objaw odrodzenia Dragojli. Odtąd chwyciła się chorwackiej książki tak silnie, zapamiętale i niezmordowanie, jak gdyby od tej tylko pracy zawisł los i zbawienie jej ojczyzny. W tym okresie życie jej przybrało zupełnie nowy kierunek. Idee i dążenia niemieckie, pod których silnym wpływem pozostawała, przetworzyły się w narodowe porywy i usiłowania, które ona poczęła odtąd ubierać w piękną szatę narodowej mowy i pieśni. Było to odtąd jej najważniejszem zajęciem.

*) Co znaczy: Oko tam ku południu spogląda, odkąd się oderwać nie da...

W Gracu często gorzkie łzy wyciskały jej cierpienia i upokorzenia, kiedy słuchała, jak się naród jej oczernia i spotwarza bez przyczyny, tylko przez zupełną nieznajomość jego i złość nieprzyjaciół. Zebrała więc wszystkie siły i poczęła uczyć się dniem i nocą, chcąc przekonać ludzi, że jest i w Chorwacyi siła i wytrwałość ducha.

Poza krajem nie została już długo. W r. 1840 pisze w swym dzienniku: „Idę, idę do ojczyzny, choćbym jedną jedyną tylko cegiełką miała dopomódz do budowy, której podstawy poczęli kłaść nasi patryoci...“

Wróciwszy do domu, zabrała się znowu do pracy. Roku 1841 pisze: „Zaczęłam pisać powiastki i obrazki sceniczne, nie idzie mi jednak zupełnie gładko; – słabam w języku i robię wiele błędów. Chociaż mię jednak nadzieje zawiodły pod niejednym względem, przecież postanuwiłam dalej pisać i wszelkich sił dokładać, bym robiła postępy...“ A dalej na innem miejscu znowu powiada:

„Męczę się z językiem, to prawda, ale przecież robię postępy. Piszę, czytam i kreślę; potem znowu piszę i znowu kreślę i tak idzie z pięć, sześć razy, póki nie wyda mi się, to co napiszę, dobrem“. — Ta z trudem i wśród przeciwności pracowała niezmordowanie Dragojla Jarnewić aż do samej śmierci do r. 1875. Nawet tuż przed śmiercią kilka dni posłała do czasopisma „Smilje“ kilka pięknych utworów dla młodzieży chorwackiej.

Oprócz licznych pieśni, które wyszły w czasopismach „Danica“ („Jutrzenka“) i „Kolo“, napisała dwa dramaty: Veronika Desinička w 5 aktach i Marija, królowa węgierska także w 5 aktach, lecz ani jeden nie z nich nie wyszedł drukiem. Większej wartości literackiej one nie mają, godne jednak uwagi i pamięci, jako jedne z pierwszych dramatów w dobie odrodzenia i jako utwory pierwszej literatki chorwackiej nowszych czasów.*) Lepsze są jej opowiadania: Domorodne povijesti („Powieści ojczyste“ r. 1842.), Sudbina („Przeznaczenie“) w czasopiśmie „Neven“ r. 1854. Prevareni zaručnici („Zawiedzeni narzeczeni“) w „Nevenie“ r. 1853, Prsten („pierścień“) w „Nevenie“ r. 1858 i w. i.

Z artykułów pedagogiczno-dydaktycznych wspomnieć należy: O miłości ojczyzny i wychowaniu dziewcząt, który wygłosiła jako odczyt, w czytelni w Karlovcu. Wychowanie kobiety jest pracą konkursową. W rękopisie pozostał rodzaj pamiętnika: Moje lata nauczycielskie. Napisała też większą powieść w politycznym dzienniku „Domobran“ p. t. Dva pira („Dwa śluby“).

*) W starej literaturze chorwackiej, a mianowicie w okresie złotym lit. dubrownickiej, czyli zagurańskiej w w. XV, XVI i XVII występowały już kobiety jako literatki chorwackie i włoskie zarazem np. Crijeta Zuzorićewa. (w. XVI i i.)

Obok Dragojli Jarnević zasługuje na wspomnienie Anka Vidovićeva, Hrvatica-Sibeničanka (Chorwatka z Szibenika). Autor jej biografii, M. powiada: „Odkąd Dalmacya Dalmacyą, i jak daleko sięgają jej dzieje, nie było i nie ma ona (t. j. Vidovićeva) równej sobie sławą, rywalki, któraby posiadała taką żywą fantazyę i przyrodzone poczucie piękna, natchnienie i zapał, a i wielki dar wymowy, jaki posiadała Vidovićeva".

„Wszystko, co się wie o jej życiu, dowiadujemy się z autobiografii jej z r. 1856, którą napisała, jako przedmowę do bohaterskiego poematu Romulo ossia la Fondacione di Roma („Romulus, czyli powstanie Rzymu"), wydaną p. t. Moj mali račůn („Mój mały obrachunek"). Vidovićevna usprawiedliwia się naprzód, co ją skłoniło do tak „śmiałego kroku" – jak napisanie książki! i do dodania przedmowy. Czyni to dlatego, że „jest przekonana, iż będzie trochę szlachetnych ludzi, którzy ujrzawszy książkę mego Romulusa, poemat w 18 pieśniach, przeczytają ją naprzód, a następnie sąd o dziele wydawać będą – przecież jednak jestem przekonana, że znajdzie się dosyć i takich, którzy, skoro ją zobaczą, wypatrzą się na nią z prawdziwie chińskiem zadziwieniem, poczytując mi ją za zuchwałość. Oto niech mi będzie wolno kilka słów o sobie powiedzieć".

„Jestem Anna Vusio,*) córka N. Vusia, który już jako młody chłopiec był kapitanem w wojsku Napoleona I, a potem został kapitanem austryackim aż do r. 1818. Już, jako dziewczę, nauczyłam się obu żyjących w Dalmacyi języków: chorwackiego i włoskiego. I zaledwie podrosłam do tego wieku, w którym zwyczajnie zabawia się i rozwesela dzieci bajkami, powiastkami i piosnkami, okazywać zaczęłam niezwykłe upodobanie w tego rodzaju duchowym pokarmie. Z czasem poczęłam wedle swojej wyobraźni opowiadać i składać wiersze. Czytałam wiele prozą, a jeszcze więcej wierszem, z czego wspomnę tylko wszystkich włoskich klasyków i wielu innych poetów w przekładzie włoskim. Tak słodki Petrarka był, jest i pozostanie na zawsze, przez całe życie moim najmilszym ulubieńcem".

Tymczasem Anna wyszła za Marka Vidovića i zamieszkała w miasteczku Pagu*) i tu poczęła pisać. Składając pierwszy wiersz, nie myślała o niczem innem, jak tylko, by sobie – jak sama mówi – „dać ducha, ulżyć, wyrazić uczucia serca swego, słowem, czas skrócić taką zabawą". Próby te podobały się wszystkim, którzy je czytali, a wielu radziło jej nawet, by się poważnie oddała pisaniu, a mogłaby niezawodnie coś więk-

*) W Dalmacyi, wskutek silnego wpływu włoszczyzny, chorwackim nazwiskom, zakończonym na -ić, dawano często końcówki włoskie. W drobnej mierze do dziś się to jeszcze praktykuje. N. p. zam. Vusić — Vusio.

*) Na wyspie tejże samej nazwy, leżącej vis a vis północnego końca Dalmacyi naprzeciw miasta Karlobag albo Karlopag.

szego stworzyć. I rzeczywiście młoda kobieta poszła za radą przyjaciół. W r. 1841 pisze poemat Anka i Stanko, drukowane odrazu i we włoskim przekładzie p. t. Annetta e Stanislavo w Zadarze.

Pieśń ta zwróciła uwagę wszystkich na Vidovićową — poczęła więc odtąd Anka pisać stale. Oprócz wielu drobniejszych utworów poetycznych napisała dziełko p. t. Mastizie e distratione, versi di Anna Vidović („Zabawy i radości“, pcezye A. V.), drukowane w r. 1847. W tym samym roku rozpoczęła większy poemat epiczny, zaczerpnięty z dziejów starożytnych, w języku także włoskim, jak to było do ostatnich czasów powszechną modą w Dalmacyi. Poemat ten p. t. Aleksander na Idaspu, poczęty jeszcze w r. 1847, skończony został dopiero w r. 1856.

Tyle mówi sama pisarka w swej autobiografii, o dalszych swych utworach nie wspomina, dopiero później bowiem zostały napisane i wydane. Z utworów, pisanych w języku chorwackim, wspomnieć należy poemat w 3 pieśniach Alva i Alko, poemat w 1 pieśni Harač prijateljstva („Haracz przyjaźni“) i szereg większych pieśni, jak Ljubov i nemilost („Miłość i niełaska“), Vjeučauje Dalmatinca z Hrwatkinjom („Ślub Dalmatyńca z Chorwatką“), Viteštvo pomorca bokeljskoga (Bohaterstwo pomorca z Boki“) i w. i. Większej wartości artystyczno-literackiej i te utwory rozumie się nie mają, mają jednak doniosłe znaczenie, jako pierwsze, skromne próby w języku chorwackim w czasach, kiedy nie książka, ale żywy język chorwacki dla warstw inteligentniejszych narodu był prawie obcym.

Oprócz poematów i powiastek w języku ojczystym, napisała Vidovićeva i cały szereg utworów w języku włoskim, wchodząc w ten sposób i do wcale bogatej włoskiej literatury Dalmacyi chorwackiej.

Oprócz dwu powyższych na wzmiankę zasługują jeszcze: Laura Slaburova, Julijana Gajeva, które kilkakrotnie odezwały się w czasopiśmie „Danica“ („Jutrzenka)“, nadto Jagoda Bzlićeva, która pisała głównie drobne, liryczne pieśni i Jelisaveta Prašničkova, gorąca patryotka i jedna z założycielek wydawnictwa popularnych książek dla ludu. Te jednak pracowały tylko przygodnie, chwilowo i w czasach, kiedy już żywszy ruch narodowy poruszał Chorwacyą. Stąd i znaczenie ich nie jest tak wybitne, a praca tak doniosłą i owocną, jak dwu pierwszych autorek.

Oto krótki i pobieżny szkic pracy chorwackich kobiet w dobie odrodzenia, a względnie w dobie budzenia się dopiero społeczeństwa chorwackiego, w dobie zbliżania się dopiero właściwego „odrodzenia“, w dobie jeszcze wielkiej ciemności i zastoju. Praca tych kobiet nie okazuje żadnych nadzwyczajnych płodów, nie poruszyła społeczeństwa z posad, nie stworzyła jakichś nowych, głośnych dzieł, a jednak doniosłość ma wielką

i zasługuje na uznanie i pamięć, jako praca pierwsza i samodzielna w czasach najcięższych, jako praca twarda i mrówcza, bo praca przygotowawcza, karczująca drogę nowym ideom. Dzisiaj taka działalność w tych ramach i w tej formie, w jakich one pracowały nie wzbudziłoby ani zajęcia, ani uznania. Inne czasy, inny duch, inne zapatrywania, inne też stawiają zadania i wymagania. W czasie jednak, kiedy występowały te pierwsze nasze pisarki, praca taka, choć dość jeszcze naiwna, prosta, niedoskonała mogła wzbudzić zainteresowanie i zapał, miała znaczenie i przyniosła owoce obfite. Stąd i głosicielkom jej należy się cześć i sława, gdyż nowych dróg szukały, gdyż karczowały nieprzystępne zarośla, by ścieżkę otworzyć nam drugim – dzieciom nowej doby; warto o nich wiedzieć, gdyż są — pierwsze.

Dziś życie i literatura innemi potoczyła się drogami, szuka nowej pracy, nowych prądów i ideałów, a za prądem powszechnym zwolna zwracają się i nasze kobiety i zwalczając stale i wytrwale wszelkie przestarzałe uprzedzenia i przeszkody, zdobywają sobie coraz nowe prawa, coraz silniejszy głos zyskują wśród społeczeństwa. Drobne to jeszcze początki, pierwsze usiłowania nasze w chwili, kiedy już inne Słowianki spokojnie może, bez walki, silną stopą kroczą naprzód, ale i one – wierzmy – przy wspólnej, a wytrwałej pracy, przy wzajemnem wspomaganiu się i wymianie myśli nie pójdzie na marne, powiedzie i nas ku czystej wolności Ducha i Czynu.

Na dzisiaj kończę. W przyszłości, może jeszcze znajdzie się sposobność, siostry Polki, że zwrócę się do Was i przedstawię Wam, jaki obraz z życia współczesnego kobiet chorwackich, bardziej zajmujący, aniżeli te pierwsze, mroczne chwile przebudzenia – może poszlę Wam zdala jaką pieśń naszą, może rzucę Wam z naszego południa garść kwiatów rodzinnej ziemi – garść baśni dzielnego ludu naszego, a woń ich, sądzę, odczujecie mile, jako serdeczną woń kwiatów, jako czysty dźwięk prostego serca pobratymczego ludu. Przetł. *Tau-gama.*

STUDYUM SZEKSPIROWEGO HAMLETA.

(Ciąg dalszy),

W starożytnym dramacie występuje, jak wiadomo, osoba bezimienna: chór. Co wyrażał ten chór? Uczeni mówią, że wyjaśniał akcyę, że przepowiadał zgon bohatera tragiczny. Zdaje się, że lepiejby powiedzieć tak: chór dawał kierunek myślom widzów, którzy patrzyli na tragedyę. Chór, co prawda, czasem ma udział w akcyi, lecz udział chóru w akcyi jest przeważnie nikły, zresztą można brać na uwagę wyłącznie ogólny jego zarys.

Były to u chóru rozważania ogólne, nie mające wyłącznie na widoku akcyi, toczącej się obecnie na scenie, ale czasem analogie bardzo dalekie i bardzo muzyczne, że więc w rezultacie ściśle z akcyą się łącząc, wybiegały poza nią bardzo daleko. W chórze—jak obecnie (wedle uczonych) w muzyce—nie było miejsca na nic indywidualnego. Chóry nie wyjaśniały tragedyi — ta była jasna od początku do końca — lecz myślały, lecz myślały to, co im tragedya nasuwała, dopatrywały się w działaniach ludzkich działania sił odwiecznych. Więc się nasuwały refleksye o losach ludzi w ogóle, o ojczyźnie, o państwie. Nikt się nie pytał, co jest zagadką Filokteta, ponieważ chór tłumaczył, wyszukiwał analogię. Zagadką Filokteta jest to, co jest do myślenia w Atenach, co jest do myślenia nad każdem zdarzeniem.

To samo znajdziecie u Wyspiańskiego: „Zagadką Hamleta jest to, co jest w Polsce do myślenia“. Cokolwiek się dzieje w Hamlecie, Wyspiański na sposób owych chórów umie łączyć analogią z okolicznościami, wśród których sam żyje i wśród których żyje jego społeczeństwo.

„Można więc—powiada—do Hamleta komentarzy nie czytać, ale przeczytać Hamleta, – i, jeśli kto ma przyzwyczajenie — myśleć — – myśleć!

Co myśleć?

To od czytającego i od okoliczności, w których czytający żyje — jest zależne.

A jeśli nie chcecie, aby myśl wasza była od waszego stanu inteligencyi i od okoliczności, w których żyjecie, zależna—to wierzcie temu, co jest w tem dziele“.

Wierzcie więc chórom! Wierząc zaś temu, co jest w dziele Wyspiańskiego, będziecie właśnie myśleć to, co od stanu waszej inteligencyi i od okoliczności, w których żyjecie, zależy. Ponieważ nic innego myśleć nie można! Ponieważ nic innego myśleć nie trzeba!

* * *

Wszystkie tedy rozważania, dotyczące budowy tragedyi, skłaniają do przypuszczenia, że oprócz względów historyczno-gienetycznych wpłynęła na ukształtowanie Hamleta, wewnętrzna konieczność i racya Szekspirowa z jednej strony, a z drugiej niemożność budowania tragedyi na jednem wyłącznie założeniu, niemożność, wynikająca z natury samych zdarzeń. Szekspir uszanował tradycyę i piękno dawnego teatru i legendy, ponieważ nieuszanować nie mógł. W tem jest również świadomość wielka, a przedewszystkiem świadomość, znająca granice własnych możliwości. Porzucenie Ducha prowadziło do uogólnienia, a Szekspirowi właśnie zależało na tem, żeby Hamlet był jednostką niezrównaną. Zbudowanie tragedyi na jednem założeniu, na inteligencyi Hamleta, wiodło do samobójstwa, do śmierci samodzielnej. Więc wiodło do czynu sprzecznego z całym rozwojem Hamleta, do czynu nielogicznego, po dokonaniu którego, Hamlet musiałby drogę rozpocząć na nowo, albo zakończyć życie w tem jasnowidzeniu, że mimo cały rozwój, nigdy do innego czynu nie dotrze.

Hamlet jest jednostką: trzeba całą zawartość tego ocenić i wszystkie konsekwencye. Hamlet jednostka może mówić: „Mścić się, sądzić, karać! Jaki absurd!“ Ale Hamlet jest synem swego ojca, ma na sobie cały ciężar przeszłości. Ten tak mówić nie może. A choćby i tak mówił, to ta przeszłość w nim wybuchnie sama. Tragicznie? Nie zdaje się, skoro Hamlet najpierw ginie, a potem zabił króla. Gdyby to zabicie króla, zbyt późne, odłożone, sprowadziło było niejako tragiczną karę na Hamleta, możnaby mówić o tragizmie

w tym sensie. Ale tak nie jest. – Jak zaś tu zrozumieć przeszłość: czy, przekraczając sferę teatru, rozumieć w sposób zwykły, czy też, trzymając się teatru, mówić o przeszłości teatralnej? Toby nas znowu doprowadziło do już dokonanej analizy budowy, do rozłożenia jej na dwa pierwiastki.

Wyosobnienie jednego pierwiastka, lub jednego założenia, wiedzie do zniszczenia całej tragedyi. Bo w jakimby celu Hamlet pchał Klaudyusza do nowych zbrodni, do targnięcia się na życie samego Hamleta, jeżeli nie miał celu zemsty? (I tego pchania nie można nawet przyjąć — Hamlet nigdzie nie stwarza, nie sprowadza zdarzeń, chyba pośrednio — król, ze swej strony, odgaduje Hamleta i walczy przeciw niemu). Jednem słowem, wszelkie rozważanie wiodło do tego: jedno założenie i zbudowana na nim tradedya jest niemożliwa. Nie sądzę, aby ta budowa wynikła z kompromisu, wynikła poprostu z natury samych zdarzeń w Hamlecie. – To oczywiście w niczem nie osłabia analizy Wyspiańskiego, chociaż osłabia nieco uogólnienia. Te jednak dla siebie są prawdą, można je więc myśleć przy Hamlecie. Wyosobnienie zaś jednego założenia wprowadza i tak drugi czynnik, czynnik Sądu, zamiast którego ostatecznie Duch z pierwszego aktu wystarczy.

Rzeczą zaś niemal zupełnie jasną jest, że Hamlet ma jedno zadanie naczelne: być pomnikiem niestartym tego okresu życia Szekspira, który Szekspir już przebył, być tem, co Szekspir w sobie pokonał! I tego Hamleta wstawił Szekspir w dawną legendę—oczywiście, że musiał nastać niepokój. Szekspir nie mógł dalej prowadzić Hamleta, bo sam jeszcze dalej nie był. Więc do tego zadania głównego, wplątało się mnóstwo zadań innych, ubocznych, z legendy, z dawnego teatru. Wolno mi ich nawet nie brać na seryo. Lecz wolno mi myśleć: jak taki człowiek, jak Hamlet, pojmuje zadanie, bez względu na to, jakiego rodzaju to zadanie. Samo zadanie jest obojętne, ale Hamlet, w jakiemkolwiek znajdzie się położeniu, pojmie rzecz poważnie. Przecież by je mógł odrzucić, porzucić. Tzn. Przecież Szekspir mógłby Hamletowi nową wymyślić legendę. Ale nie chciał? nie mógł? Nie. Legenda jest obojętna! Byleby w niej miejsce było na Hamleta. Miejsce to jest. Hamlet wyjdzie niedokończony? Nikt nie jest skończony i inaczej być nie może. Nie można więc wyosobniać założeń, bo takie wyosobnienie wyrzuci nam samego Hamleta.

Co do aktorów: Wyspiański powiada, że przyczyna złego grania Hamleta leży w możliwości interpretacyi. Trzeba się porozumieć co do interpretacyi. Czego szukano w Hamlecie? Szukano typu, szukano, stosownie do epoki, rozmaitych przymiotów, które się razem miały złożyć na t. zw. charakter. Czyli, że Hamlet w tych rozmaitych interpretacyach przestał być sobą. Stał się typem, zaludniającym cały świat, przestał być Hamletem, istotą jedyną i wyjątkową. Analiza budowy niewiele tu wyjaśnia. Wszelka zaś chęć umotywowania jego działań w tragedyi Szekspira, jest bezowocną. Ponieważ tam wszystko jest umotywowane. Są, którzy nie wierzą Hamletowi i wyszukują sprzeczności w budowie. Sprzeczności te są, ale Hamlet mimo te sprzeczności, jest jednolity. Jeżeli nie zabija króla, gdy po widowisku zastaje go na klęczkach, to podaje motywy. Kto ich nie przyjmuje, musi podać inne. Kogo tu razi powoływanie się Hamleta na to, że król mógłby pójść do nieba, ten niechaj wspomni, co mówi Wyspiański o dwoistym Hamlecie: jeden, który wierzy w Ducha, drugi—który weń nie wierzy, i że to jest właśnie owa pora nocna, kiedy Duch najsilniej nań działa, kiedy Hamlet czuje w sobie pragnienie mordu i krwi.

„Jak wraz – jak wraz – ta dziwów pełna Noc.
To chwila teraz ta,... tajemny ciąg
Grób dźwiga, – wieje czar i trupi dech,
Erynnis żąda krwi! – O czynów! Rąk!!
Przepadnij dniu! — O dniu idący stój!
Teraz ta noc – to dzieła – to czyn mój!“
(Przekł. Wyspiańskiego).

Będąc pod działaniem ducha, musi króla zabić teraz, ale wiara w tego Ducha pociąga za sobą wszystkie konsekwencye wiary. Dlatego Hamlet motywuje jedynie słusznie swój postępek u Szekspira. Stosownie zaś do logiki innej, jaką ktośby tu chciał wprowadzić, można inaczej umotywować. Zawsze jednak okaże się, że Hamlet teraz nie może zabić króla.

Więc interpretacya, a myślenie – to zupełnie co innego. Interpretować motywy działań można i tego nikt uniknąć nie zdoła. Zwłaszcza, gdzie nie są wyraźnie podane, gdzie się kryją w przebiegu zdarzeń, ale tego nie można inaczej jak w sposób dokonany przez Wyspiańskiego. W dramacie samym wszystko jest logiczne.

(Kilka innych luźnych uwag, tyczących się samego Hamleta i książki Wyspiańskiego, sposobem luźnym, w następnym numerze). (dok. n.

St. Lack.

Drukarnia Wł. Teodorczuka w Krakowie, Zielona 7.

Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Z drukarni Wł. Teodorczuka w Krakowie.